

ROZMOWA Z
**AGNIESZKA
KORYTKOWSĄ-MAZUR**

MONIKA ŻMIJEWSKA: Po czterech latach pracy w Teatrze Dramatycznym zrezygnowała pani z ubiegania się o kolejny kontrakt i nie stanęła do konkursu na stanowisko dyrektora. Te cztery lata to porażka? Zwycięstwo?

AGNIESZKA KORYTKOWSKA-MAZUR, DYREKTORKA TEATRU DRAMATYCZNEGO (JEJ KONTRAKT KOŃCZY SIĘ POD KONIEC SIERPNIA BR.): - Z perspektywy wewnętrznej, lokalnej - te cztery lata mogą się wydawać porażką. Z perspektywy zewnętrznej - o tym teatrze nareszcie zaczęło być głośno w kraju i za granicą. Zaczęło się o nim mówić w środowisku, wszedł do obiegu najciekawszych scen teatralnych w kraju. Z mojej perspektywy? Jestem bardzo zmęczona, ale wyjeżdżam z Białegostoku z tarczą. Nauczyłam się tu konsekwencji i wierności swoim ideałom. Efekty były miarodajne. To, jak zostaną wykorzystane, nie leży już w mojej gestii. Kiedy przystępując do konkursu, złożyłam plan pracy, rodzina i przyjaciele stukali się w głowę. Bo to był plan marzeń. Marzeń o teatrze, w jakim sama, jako reżyser chciałabym pracować - teatru o wysokim standardzie pracy i etosie artystycznym. Byłam pewna, że nie wygram. A jednak wygrałam. Miałam poczucie, że przyjeżdżam na jakiś czas, że będzie to dobra przygoda. Później okazało się jednak, że realizacja tego planu jest okupiona wielkim wysiłkiem. Tym bardziej że Urząd Marszałkowski przez ponad trzy lata stopował próby powołania mojego zastępcy. Byłam jedynym dyrektorem w Polsce zarządzającym teatrem w pojedynkę. Oznaczało to, że jednocześnie musiałam układać plany artystyczne, pozyskiwać kontakty, zdobywać dotacje, układać repertuar, sporządzać raporty, pilotować promocję i działania edukacyjne, pozyskiwać widzów, zamawiać tonery, środki czystości i... nadzorować ośrodek wypoczynkowy teatru. To ciągle balansowanie: która szala jest ważniejsza. Z perspektywy czasu myślę, że sprawując wysoką, odpowiedzialną funkcję rzadko zdarza się podjąć choć jedną jednoznacznie dobrą decyzję. Jeśli jest dobra dla Urzędu Marszałkowskiego, to nie jest dobra dla aktorów. Jeśli jest dobra dla teatru - to nie jest dobra dla urzędników. Taka patowa sytuacja wynika ze struktury tego teatru. To bardzo trudne miejsce. A im było trudniej, tym bardziej trzeba było być konsekwentnym. Ale też im bardziej było się konsekwentnym, tym bardziej rzutowało to na dobry odbiór teatru poza Białymstokiem. Myślę, że - zachowując cały czas pokorę - można powiedzieć, że patrząc na wszystko z perspektywy pozabiałostockiej - odnieśliśmy sukces. To miał być teatr, który miał wyjść na szerokie wody. I to się udało. Byliśmy ze spektakłami w Chinach, Indiach, Moldawii, Litwie, Białorusi... i w Krynkach. Byliśmy zapraszani na najważniejsze międzynarodowe festiwale. Dostawaliśmy nagrody.

Dlaczego Teatr Dramatyczny to trudna przestrzeń?

- Mam wrażenie, że cały czas ścierają się tu dwa przeciwstawne sposoby myślenia. Pamiętam swoje pierwsze zderzenie z tym światem. Gdy przyjechałam, niemal od razu zaczęły się pielgrzymki niektórych akto-

Strach w Teatrze Dramatycznym, polityczne gry

MARCIN ONIURVJUK / AGENCJA GAZETA



Agnieszka Korytkowska-Mazur: Jestem bardzo zmęczona, ale wyjeżdżam z Białegostoku z tarczą

Aktorzy? W większości nie ma ciekawości, nie chcą się rozwijać. Jest w nich też strach. Władze? Krótkowzroczne, często niekompetentne - mówi Agnieszka Korytkowska-Mazur, kończąca pracę w Białymstoku jako dyrektor Teatru Dramatycznego.

MONIKA ŻMIJEWSKA

rów do mego gabinetu, którzy przychodzili i przynosili zwolnienia. A to, że nie mogą grać na stojąco. A to, że nie mogą brać zbyt emocjonalnych ról. A to, że muszą grać w bokobrodach i muszą mieć zdobione drzwi, by zejść ze sceny...

To na bokobrody można mieć zwolnienie?

- Na bokobrody nie, ale na niedyspozycję - tak. A niedyspozycja wynikała ze strachu, nie z chorób, chyba że chorób alkoholowych, z czym też był ogromny problem w tym teatrze. Pamiętam też, że jak przyszedłam do magazynu, by zapytać o kostiumy - jakie są, ile ich jest - to zaprowadzono mnie do pomieszczenia, pokazano kostiumy i powiedziano: tu są kostiumy historyczne, a tu bajkowe. Tylko taki podział obowiązywał. Teatr Dramatyczny sprawiał wrażenie przestrzeni socjalistycznej. Ja w nią weszłam z zupełnie innym sposobem myślenia. Po jakimś czasie odkryłam, że w większości pracujących w teatrze aktorów nie ma ciekawości, nie wykazują chęci rozwoju. To są ludzie, którzy mają studia, ale nie mają wykształcenia. Nie mają potrzeby doskonalenia się. W zespole są raptem dwie osoby, które jeżdżą na warsztaty. I szkoda, że tu zostaną, bo niektórym to miejsce szkodzi.

Reszta nie chce się rozwijać?

- Wielu aktorów raczej nie wykazuje zainteresowania ewentualnym rozwojem. Długo myślałam, że jest inaczej. I chciałam myśleć, że jest inaczej. A jednak rzeczywistość jest inna. Pamiętam, jak Krzysztof Ławniczak, który uważa się za gwiazdora i tak jest traktowany przez widza, kilka miesięcy temu na spotkaniu zespołu z przedstawicielami departamentu kultury powiedział jedno zdanie, które w zasadzie jednoznacznie mówiło, jaki jest sposób myślenia niektórych aktorów. Powiedział coś w stylu: „Dyrekcja nie doczytała czym jest teatr. Teatr nie jest instytucją artystyczną, ale artystyczno-usługową, z naciskiem na to drugie. Ma sprzedawać usługi. Jesteśmy usługodawcami, musimy się podobać”.

To zdanie postawiło kropkę nad wszystkim. Nie było nikogo, kto wstałby i powiedział: „Pan nas obraża”. Cóż, znam dwa zawody, które by się podobać, sprzedają własne wdzięki. To klaun i kurwa. Nie aktor. Tak więc taki sposób myślenia jest zupełnym przeciwieństwem tego, czym jest misja teatru. Dlatego nie ma mojej wewnętrznej zgody na takie traktowanie teatru.

Jednak coś z aktorami Teatru Dramatycznego udało się zrobić. Powstały przejmujące spektakle z ich udziałem: „Antyhona”, „Modlitwa czarnobyłska” i parę innych.

- Tak, trochę rzeczy udało się zrobić. Dlatego, że w to uwierzyli, weszli, przeżywali podczas realizacji. Każdy miał szansę choć raz tutaj poczuć się artystą. Pamiętam jak przeżywali „Antyhonę” czy „Sońkę”. Pamiętam, jak Franciszek Utko niedawno, zaraz po „Exodusie”, powiedział w natłoku emocji związanych ze swoją rolą i w ogóle - z klimatem przedstawienia: „I pomyśleć, że ja już chciałem iść na emeryturę”. Tak więc są emocje, pojawia się chęć i energia. Ale to stan przejściowy. Trwa do momentu, w którym ktoś ich wybije z tego pozytywnego nastroju. Nagle okazuje się, że jeden aktor się skrzywi, coś tam powie uszczypliwego, z teatru wyjadą realizatorzy - a tu wspomnieć muszę, że udało się nam zebrać fantastyczne ekipy realizacyjne, przy-

JACEK PIORUNEK powiedział mi, że mam wystawiać polskie sztuki, a najlepiej „Chłopów” Żeromskiego. I nie było to bynajmniej przejęzyczenie, które każdemu może się zdarzyć... Takich rozmów przeprowadziłam naprawdę mnóstwo. Władze bywają niedouczzone, nie wyjeżdżają.

Dołącz do nas
facebook.com/bialystokwyborcza



jeżdżali tu naprawdę ciekawi reżyserzy - i nagle wszystko pęka. Aktorzy wracają do tych ludzi, jakimi byli wcześniej. Znow do skorupy. I ci bardziej otwarci, pozytywnie nastawieni, nagle się zamykają. Jest w nich strach. Potwornie się boją. Tych kononów jest dużo.

Czego się boją?

- Siebie nawzajem. Tęgo, że stracą pracę. I wielu innych rzeczy. Patrzą na siebie podejrzliwie. Klóca się o drobiazgi. Bo jedna aktorka drugiej aktorce w latach 80. zabrała szczotkę kupioną w Peweksie i do tej pory nie oddała - tego typu zaszłości powracają co jakiś czas i można je usłyszeć nieoczekiwanie w garderobie. Nie są przyzwyczajeni do otwartego myślenia o teatrze. Powstał pomysł, by pokazać „Wycinke” [spektakl na podstawie twórczości Thomasa Bernharda zrealizowany przez Krystiana Lupe we Wrocławiu-red.]. Siadamy, rozmawiamy. Ktoś rzuci: „Rozmowy przy wycinaniu lasu? Nie, to już było...”. I koniec tematu. A to przecież jeden z najważniejszych współczesnych polskich spektakli. Nie sposób nie znać tego tytułu, jeśli interesujemy się teatrem. Z wielu aktorów białostockiego teatru niestety wylażą lata złych przyzwyczajęń. Nauczeni są odtwórczego teatru, gdzie dekadami wszystko za nich robiono. Zanurzeni byli w marazmie. Reżyseria polegała tutaj na tym, że padały komendy: przejdź się w prawo, albo w lewo. I aktorzy posłusznie wykonywali polecenia. Nie grzebano w roli. W ciągu ostatnich paru lat trochę się to się zmieniło. Gdy okazało się, że zaproszeni reżyserzy zupełnie inaczej podchodzą do pracy reżyserskiej, w kilku osobach, które w to weszły, i nie chodzi tylko o aktorów - coś się pootwieralo. Są w teatrze osoby, które mają w sobie wewnętrzną szlachetność, i jakoś udało im się w tym teatrze ową szlachetność zachować. Ale jest też wielu, którzy w tym byciu na etacie tę szlachetność w sobie stracili. Nawet nie chcę tego oceniać, oni tu zostaną, mają swoje sprawy, kredyty... Nikt stąd nie wyjedzie, nie zaryzykuje.

Wszyscy wyjechać przecież nie mogą.

- Tak, ale zawalczyć o siebie można i na własnym podwórku. Stałą zasadą życia artystycznego jest płodozmian, nieustanny rozwój wewnętrzny. Ale nie tutaj. Większość aktorów prędzej zmieniłaby dyrektora niż swój styl pracy. Owszem, na etapie niektórych projektów była energia, ale potem wszystko wracało na utarty tor. To tak jak z wakacjami. Gdy na nie wyjeżdżamy, ekscytują nas inne zapachy, nowe otoczenie... ale potem znow przychodzi codzienność i wszystko wraca w te określone rewire, wydeptane ścieżki, zastygłe formy. Widziałam dobre dni, gdy były zryw. Bycie wśród ludzi twórczych wszystkich nas nakręca. I tak było tutaj. Rozliczano mnie z tych wszystkich zaproszonych twórców i aktorów - po co nowi, przecież tu jest zespół, trzeba ich przede wszystkim obsadzać. Ale przecież Mastalerz, Falkowski, Maćkowiak, Malcanau, Anikiej i inni - to są ludzie, którzy podnoszą reszcie rodzaj twórczej adrenaliny. W towarzystwie ludzi twórczych pojawia się zupełnie inny rodzaj dyskursu, pojawiają się dyskusje, inspiracje, nowe książki. To dawało poczucie, że my wszyscy jesteśmy w centrum, gdzie się coś wydarza. W Polskę szła informacja, że w Białymstoku jest fajna ekipa, zaczęliśmy się liczyć. Tęgo miejsca - Teatru Dramatycznego - nie było wcześ-

niej na mapie teatralnej. A dziś jest. Ludzie tu chcą przyjeżdżać i pracować. Bo choć to trudna przestrzeń społeczno-mentalna, to też bardzo ciekawa.

Jak pani postrzega Białystok po tym czterech latach? I kontakty z urzędnikami?

- Najważniejszą wadą Białegostoku jest doraźność i krótkowzroczność. Co nie jest dobre, zważywszy na te wszystkie procesy, które zachodzą poza Podlasie. Ta krótkowzroczność to perspektywa władz, często niekompetentnych. Ich perspektywa wydaje się nie wychodzić poza czas „do przyszłego piątku”. Ilość nie trafionych decyzji, zaniechanie i marnotrawstwo - wszystko to wynika z doraźności i braku wizji. Owszem, jest w mieście dużo oddolnych inicjatyw. Władze się nimi chwala, ale tak naprawdę większość tych inicjatyw wykorzystywanych jest do tego, by się pod nie podczepić.

Droga teatralno-urzędnicza była trudna. Czasem poziom absurdu był tak duży, że mój umysł tego nie wchłaniał. Pamiętam, że gdy często wychodziłam z Urzędu Marszałkowskiego, jeszcze gdy rządziła w nim poprzednia ekipa, to sens usłyszanych słów docierał do mnie dopiero gdzieś na pierwszym skrzyżowaniu. Tak bardzo to było abstrakcyjne. Musiało minąć dużo czasu nim zrozumiałam o co toczy się gra. Wysoko postawiony urzędnik na pytanie, dlaczego zajął się kulturą, a nie jakąś inną działalnością, odpowiadał dość beztrosko: - „Miałem dostać sport, ale nie wyszło...”. Jacek Piorunek [wicemarszałek poprzedniej kadencji zajmujący się kulturą - red.] powiedział mi, że mam wystawiać polskie sztuki, a najlepiej „Chłopów” Żeromskiego. I nie było to bynajmniej przejęzyczenie, które każdemu może się zdarzyć.... Takich rozmów przeprowadziłam naprawdę mnóstwo. Władze bywają niedouczzone, nie wyjeżdżają, nie podglądają innych, nie wyciągają wniosków. Najczęściej rozmawiają w taki sposób, by odwrócić kota ogonem, by swojemu rozmówcy pokazać, że to rozmówca swoimi zastrzeżeniami wywyższa się ponad miejscowych. Byłam daleka od kolonialnej postawy. Obserwuję wiele kontaktów między światem urzędniczym a kulturą i moja konstatacja jest smutna: najczęściej obie strony wyrzekają się własnych poglądów i osobowości, rozpaczliwie próbując nikogo nie urazić. Wyżej cenią bezpieczeństwo niż prawdę.

Mówi pani o poprzedniej ekipie rządzącej, czy obecnej?

- Mówię o mechanizmie władzy. Poprzednia ekipa szkodziła, bo nie rozumiała potrzeb i zasad działania teatru. Tworzyli ją ludzie, którzy wyrośli z kompletnie innych środowisk, niewiele mających wspólnego z kulturą. Obecna? Nie uczestniczę w życiu polityczno-społecznym tego miasta. Pełnej wiedzy nie mam. Ale to, co mogę powiedzieć, to że są to ludzie, którzy deklarują otwartość, na pewno reprezentują wyższy poziom intelektualny jeśli chodzi o nadzór, ale ostatecznie kończy się na deklaratywności. Mam do tej ekipy ograniczone zaufanie. Rozumiem, że oni mają pod sobą całe województwo, nie tylko teatr, rozumiem, że nie jest to łatwe. Może nawet niektórym z polityków zależy na tym, by swoimi decyzjami zrobić jak najmniej krzywdy. Niemniej, jeśli się podjęło decyzję, że się ma taki, a nie inny zakres obowiązków, to należy dążyć do te-



MARCIN ONUFRIJUK / AGENCJA GAZETA



Najważniejszą wadą Białegostoku jest doraźność i krótkowzroczność. Perspektywa władz, często niekompetentnych, wydaje się nie wychodzić poza czas „do przyszłego piątku”. Liczba nietrafionych decyzji, zaniechanie i marnotrawstwo – wszystko to wynika z doraźności i braku wizji

go, by efekty decyzji były realne, a nie wirtualne.

Trzeba też pamiętać, że to są politycy. Podstawą jest gra. Pracując w teatrze, stykając się z urzędnikami, cały czas myślę: w co ktoś gra? W obecnej ekipie są osoby z dobrymi intencjami. Ale prędzej czy później nawet takie osoby przestają być harcerzami, zaczyna się bycie politykiem, albo dochodzi do wypalenia. Maciej Żywno [wicemarszałek odpowiedzialny za kulturę - red.] ma trudny orzech do zgryzienia. Uważam go za dobrego człowieka. Ale też świat polityki jest taki, że trudno w tym wszystkim zachować uczciwość w sobie, jeśli chce się być skutecznym. A politycy rozliczani są ze skuteczności, a nie niemiarodajnej dobroci. Może by się w tym wszystkim utrzymać, trzeba się jakoś ucylniczyć? Nauczyłam się, że polityka i etyka to nie są wspólne zbiory wartości.

Jak pani ocenia obecne zamieszanie z wyborem dyrektora Teatru Dramatycznego? Sprawa ciągnie się już blisko dwa miesiące... [zarząd ogłosił jeden konkurs, rekomendowany przez komisję Piotr Półtorak, aktor teatru, sympatyk PiS nominacji nie dostał, ogłoszono drugi konkurs, wojewoda stwierdził nieważność uchwały zarządu w tej sprawie, zarząd się zastanawia co zrobić dalej, niewykluczone, że poprzestanie na kandydacie, który wygrał pierwszy konkurs - red.]

- Urzędnicy sami sobie ukręcili bat na własne głowy. Trudno zachować twarz w sytuacji wielu politycznych nacisków. Obecny stan rzeczy nazwałabym jednoznacznie: handel stanowiskiem i instytucją.

Co było najtrudniejsze podczas tych czterech lat? Decyzja o wystawieniu sztuki „Biała siła, czarna pamięć” na podstawie książki Marcina Kąckiego, która wygenerowała skrajne emocje wśród białostoczian? Protesty Młodzieży Wszechpolskiej, zakusy radnego PiS, by sztukę zablokować, choć zarząd województwa ostatecznie się nie ugiął, do wystawienia spektaklu doszło...?

- Tak naprawdę to prawie codziennie miałam takie trudne momenty. Nie było tygodnia, bez podejmowania trudnych decyzji, odpierania nacisków, nazywania prywaty po imieniu. To był spory wysiłek, balansowanie na granicy najtrudniejszych kompromisów. Czasami pojawiała się w mojej głowie opozycja - czy być człowiekiem, przyszykać oko na słabości pracowników i myśleć o danej sytuacji brać pod uwagę to, że ktoś ma gorszy dzień, coś nie tak w rodzinie, komuś zmarł chomik, czy być dyrektorem i konsekwentnie tworzyć wysoki poziom pracy, stawiać wysokie wymagania, dbając o wizerunek teatru?

Co do „Białej siły...”.

Zgłasza się reżyser. Mówi: „Mnie to dotknęło”. OK, podejmuję decyzję: „Robimy spektakl”. Rozmawiam z Kąckim, który mówi tak: „Słuchaj. Bycie w Białymstoku wiele mnie kosztowało, ale mam ciągle tutaj wielu przyjaciół, nawet lubię tu wracać...”. I to on właśnie dodaje dość szybko: „Jak to zrobicie, będzie rozpiarducha...”. A ja, optymistycznie: „Może jednak nie, nie można dwa razy zrobić pierwszego wrażenia...?”

Koniec końców rozpiarducha była. Przychodzi radny [Stawnicki - red.], żąda odwołania spektaklu, siada na wi-

downi jak cenzor, mówi, że my tym spektaklem odbieramy ciepły wizerunek Białemustokowi. W tym samym czasie pod teatrem przechodzi marsz ONR-u. A ja mam poczucie, że ten radny powinien mówić to do tych maszerujących, krzyczącej młodzieży, nie do nas. Co ciekawe - w sumie rozumiem jego motywację. Choć ich nie akceptuję. Nigdy nie mógłby być moim kumplem, ale rozumiem w co gra.

Wszystko to było trudne. Ale trudne było też zawrodozenie się na ludziach, którzy robią pewne rzeczy ze strachu. Trudne było to, że w tej przestrzeni byłam sama, nie miałam obok siebie rodziny. Nie pomagał fakt, że poprzedni dyrektor się nie wyprowadzał z mieszkania służbowego przez pierwsze osiem miesięcy mojej dyrekcji. Jak zareagować? Czy przyjść z policją i powiedzieć: „Proszę się wyprowadzić?” Czy poczekać? Wiedziałam, że miałam trudną sytuację życiową. Starałam się go zrozumieć. Efekt był taki, że przez osiem miesięcy mieszkalam w teatrze. Moja rodzina ostatecznie nigdy się tu nie sprowadziła. A zgranie życia rodzinnego z zawodowym, gdy pracuje się poza domem, niejednokrotnie 20 godzin na dobę, to także wysiłek, niejednokrotnie ponad siły. Może miałam to szczęście, że pomogła mi przetrwać konstruktywna praca, dążąca do dobrego celu i przyjaćcie. Choć cały czas mam w sobie poczucie montypythonowskie. Nieustające zadziwienie... To abstrakcyjne poczucie humoru też w jakiś sposób mnie podtrzymywało na duchu.

Mogłaby pani zostać jeszcze na tym stanowisku? Teraz, widząc co się dzieje, jak wygląda zamieszanie wokół konkursu, jak się to wszystko przeciąga?

- To były niebawale cztery lata. Ale nie mogłabym zostać na tym stanowisku. Nie umiałabym już pójść na kompromis. Musiałabym też zrobić wiele ruchów, np. zwolnić wielu ludzi. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, na ile kompromisów musiałby pójść przyszły dyrektor. To byłoby ze szkodą dla mnie. Poza tym mam dwójkę małych dzieci. Nie mogę być ciągle poza domem. Niech już robi to ktoś inny. Ten teatr zasługuje na to, by wyjść jeszcze pełniej na otwartą drogę. Została ona otwarta, kontakty są - w różnych miejscach, różnych krajach. Byłaby wielka szkoda, gdyby teatr z tego nie skorzystał. Obecny cel to teatr lokalny, dla miejscowych, za miejscowe pieniądze, wesoly i miły. Z tyłu głowy pojawia mi się słowo: prowincjonalny, czego z całego serca temu teatrowi nie życzę.

Co teraz będzie pani robić?

- Teraz muszę przede wszystkim odpocząć. Muszę usiąść i dowiedzieć się kim jestem. Zdecydować co dalej. Kończę pisać doktorat z „Antyhony” w Państwowej Szkole Teatralnej w Krakowie. Dostałam propozycję pracy na ASP, mam propozycje kilku reżyserii w Polsce, szykuje się sporo projektów również za granicą. Przymierzam się do pracy nad produkcją filmową. Jako reżyserka widzę, że ten czas w Białymstoku dał mi dużo. Siegaliśmy po nieprzypadkowe tytuły, starałam się być konsekwentna w tworzeniu teatru zanurzonego również w teraźniejszość po graniczą. Pod względem spotkań, dotykania tematów, języka to był też dla mnie duży artystyczny eksperyment. Myślę, że dopiero teraz mogę zacząć pracę nad tym, by czuć się reżyserem w pełni. ●

ROZMAWIAŁA **MONIKA ŻMIJEWSKA**